№ 5, 6 i 7. Cena złp. 1.

KWIATY.

(Tygodnik.)

TREŚĆ: *Zygmunta Krasińskiego* „Przedświt“.

PRZEDŚWIT.

A Jezus im odpowiedział! Ojciec mój aż dotąd pracuje i ja pracuję.

(*Ew. Św. Jana. R. V. v. 17*).

Za dni Cezara poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historji swojej — w Religji do zupełnego zwątpienia—w Filozofji do zupełnego obalenia zasad Polyteizmu. Augur śmiał się z Augura — a Grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie żywiące śród ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — quot capita tot sensus. — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm, przechadzały się jak mary po owdowiałych piersiach Ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcji i rewolucji, wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem; i plebejanin Marjusz i patrycjusz Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem starali się dawnego i znikającego porządku kształty, raz jeszcze z przeszłości wywołać, i żywą teraźniejszością uczynić!— Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można — jedno życie tylko, nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając a nie niszcząc, kochając a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy czy zatraciciele, czy odnowiciele

5

z ostatnich czasów Rzymu, jedną cechę na sobie noszą— pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą ku czemu dąży Historja świata. Jedni trzymają się podania Grakków, i chcą demokracji—drudzy wierzą jeszcze w Bogi Many Appiuszów i marzą o arystokratycznej Rzeczypospolitej. Takiem marzeniem obłąkany Brutus, ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając zwątpi o sobie, o ojczyźnie i o Bogach, i krzyknie: „Cnota jest także złudzeniem“. Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego, i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten bliski dnia sądu i przeobrażenia swego!

A nietylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tem. Inna jeszcze występuje tu cecha—nad wszystkie ważna—dowodna—niechybna—choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materjalnej strony ówczesnego człowieczeństwa; kiedy albowiem wszystko na polu Ducha się rozprasza, skądinąd, wszystko na polu materjalnych spraw i celów, coraz bardziej się kupi, zrasta,ześrodkowywa. Rzym choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż— i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juljusz Cezar—a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży—przejdzie Rubikòn bezbożnik—powie, jacta alea est—Cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje—Gallią o Egipt uderzy—Germanom pokaże błękit niebios Greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomięsza, rozkrwawi, napełni świat szczękiem broni, krzykiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimo woli, mimo wiedzy połączy, pobrata; granit plemion nieznających siebie zetrze na piasek jeden, ten sam gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa! I o nim Żydzi myśleć będą, że on jest Messjaszem—i ziemia o nim pomyśli na chwilę, że on jej Bogiem! Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jej Boga. Na polu historycznego czynu, on tym aniołem,

któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana! On świat przywiódł do materjalnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może—on ziemię znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec!

A lat nie wiele później, któż zaczął stąpać po tej bitej drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane—i że zmarli nie umrą—i że Bóg nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie? Czy nie Piotr—czy nie Paweł—czy nie Jan święty? Szaleli następcy wielkiego Juljusza—prześladowali wiarę nową—żartowali śród biesiad ze słowa opowiadanego—chrześcian przybijali do krzyżów, a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowej religji, że to samo co ich na krótko i krótko-chwilowych bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi poczętemu z nieba—i że jedność materjalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincji podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym postępu dla Chrześciaństwa. Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jej o ile sił zniewieściałych im stało, a tem samem ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym Chrześciaństwa wzrostem! W ręku Opatrzności narzędziami byli — prawa historji dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlarze i kupcy za czasów naszych—i tak z tylu szatanów widomych na ziemi, każden był sługą bożych myśli—każden jedną cegłą więcej rzuconą do budowy kościoła. Jako Imperatorzy przeszli oni obarczeni przekleństwem ludzi—jako cegły zostali się—i dotąd potomni ludzie po nich deptają w historji!

Discite historiam exemplo moniti! Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu, ostatnie podrzuty Rzeczypospolitej rzymskiej odbiły się w strasznem epileptycznem zadrgnieniu rewolucji francuskiej. Zerwały się cienie Marjusza, Sylly, Katyliny, pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespiera—wreszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona! A chrześciański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli, Duch Boży kierujący dziejami, go zesłał, rzekł umierając na skale wygnania: „odemnie liczyć się będzie nowej Ery początek“. W tem słowie zawarta prawda i

jego i całej przyszłości. Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia, musi się sam wyczerpywać jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać jak zaprzeczał się starożytny. Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w niszczeniu; zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty! Od Grakków świat pogański nie spoczął aż usłyszał obietnicę Chrystusa, od Lutra nowożytny nie ma pokoju,—cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa!

W okręgach religijnych wszędzie rozbrat. Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego Soboru, ujęty. Schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześciaństwa, na tysiąc kacerstw rozerwana, protestantyzm sam siebie rozwiązujący i mówiący consumatum est! W okręgach filozoficznej wiedzy pewność—ale braku tylko—dowód, ale krytyczny tylko, przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. Wściekło-flegmatyczne, że tak powiem, zaprzeczenie filozofji niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszłe. Jednostronność myśli tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzódy jednostronność materji, której się trzymał ród Encyklopedystów francuskich. Ztąd mniemań, teorji, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezje chrześciańskie wszystkie, panteizm indyjski cały, dualizm perski, monoteizm hebrajski, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna; wskrzeszone razem i w tej mięszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zasuwające tak, iż trudne do rozpoznania, a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnienia, same prosząc się o śmierć, by się prędzej przemieniły, i nową iskrą życia pojednane zmartwychwstały młodemi napowrót! Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

Anarchja to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia—żądza taka wielka, a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebie-

siech! Kiedyż ta pomoc odmówioną była? Kiedyż Bóg opuścił historję, kiedy historja wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: „P o k a ż s i ę n a m P a n i e!“

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony, jak w osobniku tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholja — ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych historji. Gdyby inaczej było, ducha ludzkiego własną wolą wyrabiającego się nie było, gdzieżby się podziała zasługa, którą on zasługiwa się w c z a s i e? Czemże ona, jeśli nie życiem tem jego historji, jeśli nie tym ciągiem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z martwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera jeśli się nie zwątpi? A jakżeż się zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy? By nie umrzeć na to Bogiem być trzeba—człowiekiem na to, by umierać. Gdy Boży Duch połączy się z naturą człowieka, życie Boże grób ludzki rozwala—Chrystus umarł i wstał ze zmartwych.

I epoce wszczętej w słowie Jego tak samo uczynić potrzeba, nim zdoła czynem treści całej tego słowa dorównać. Otóż ojcowie nasi stali na tej pochyłości, co wiedzie do grobu—nas, dalej już losy zaniosły i głębiej złożyły—my w grobie—mylę się, my już za grobem!

Wszyscy wiecie to bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci—i od kolebki oczy wasze wzwyczajone poglądać na sińce zgonu rozciągające się po ciele europejskiego świata! Ztąd ból wieczny, co toczy wam serca—ztąd niepewność, co życiem waszem się stała. Idziecie, a nie wiecie dokąd—i nie modlicie się już, jak za dawnych lat, jedno powtarzacie: „ź l e n a m j e s t“. Lecz wszelki koniec mieści już w sobie następny postępny początek—dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. Alboż wy nie wiecie, że to chrześciańska wiara, a jakoż by miała omyloną być, kiedy z Boga jest? Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki zmartwychwstania!

Nikt średnich wieków nie nazwie cywilizowanemi—nikt naszego aż dotąd religijnym; cywilizacja się poczęła w chwili, gdy wiara konała—cywilizacja jest to jedność materjalnego bytu, jest to wspólność interesów ziemskich, czekająca na zjawienie się słowa Bożego. Patrzcie! jak rosła i ugadzała wszystko, na to, by idące słowo Boże łatwiej się rozlało, prędzej się udzielało z

domu do domu, z kraju do kraju! Czemże Napoleon jeśli nie tym drugim w historji aniołem, co usuwa zawady z drogi Pańskiej? Państwo jego uniwersalne rozwiało się, jak złudzenie—on umarł na dalekiej wyspie, a syn jego jedyny w stolicy nieprzyjaciela. Bracia pozostali i ród ich miernością—gdy pomrą te ciała, nie zostanie śladu, że za życia każde z nich nosiło koronę, a jednak mimo to, pamięć tego człowieka nie pamiątką po umarłym, ale Duchem żywym i coraz potężniej żyjącym jest! Co on pchnął do biegu to teraz dalej się toczy—co ta dłoń na chwilę wszechmocnie spoiła, to samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże. Zapoznane ludy już się nie odpoznają—skupiony razem duch germański już się nie rozprzęże—włoski toż samo i hiszpański toż samo! On narodowości ziemskie przebudził z uśpienia.

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. Przed nim prawdziwych narodów, oprócz hebrejskiego nie było: bo nie znano celu do którego dążą narody, ku któremu ciężą jak planety ku słońcu. On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna owczarnia i jeden pasterz; on to przykazał modlącym się do Ojca i powtarzać te słowa: „Przyjdź Królestwo Twoje“ i takiem westchnieniem od lat dwóch tysięcy, my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Nic w nas naszego nie masz—wszystko od Stwórcy, myśl i ciało—Bóg nam niejako pożyczył nas samych. Naszym jedynie, użytek jaki czynimy z tych udzielonych nam zasobów; naszym tylko czyn nasz, zasługa którą dopracowujemy się rzeczywistej i ostatecznej osobistości naszej. Lecz ona tylko na ziemi, tylko śród ludzkości położoną być może; ludzkość zatem śród której zarabiamy na wieczny, przyszły żywot nasz, musi być sama wielką i świętą w Bożym pomyśle harmonją, a nie znikomą marnostką bez wagi i celu! Ludzkość na planecie i nieśmiertelność każdego osobnika za grobem, są to dwa okręgi równe sobie, posługujące się nawzajem, nie dające się rozdzielić sercem ani rozumem; każden drugiego pobocznicą, warunkiem, dopełnieniem, a oba zlewają się w trzecią, wyższą samego Boga potęgę!

Lecz czemże jest planetarna ludzkość? Oto całością i jednością wszystkich możności Ducha człowieczego, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość

członków swoich: to jest narodowości. Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi cząstkami niewidzialnego Ja ludzkiego, które je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości widome muszą w rozmaitości swojej, a zarazem harmonji, stać się kiedyś żywemi członkami powszechnej, że tak powiem, katolickiej ludzkości:

„A wszystko sprawuje jeden i tenże Duch, udzielając każdemu z osobna jako chce".

„Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego choć ich wiele jest, są jednem ciałem, tak i Chrystus!"

(Św. Paweł. List do Koryntjan, R. XII. w. 11—12).

Objawienie Syna Bożego musi więc przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy.

Słowo Chrystusowe nie mogło od razu przetwarzać polityki pogańskiego świata; bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiej zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów w niej żyjących; musiało zatem schrześcjanić szczególnie dusze przed chrześcianinem stosunków między narodami i państwami.

Ale za dni naszych, osobnik każden chrześcianinem jest i wszystkie stosunki między niemi chrześciańskiemi są. Gdzież dalej iść idei chrześciańskiej? Oczywiście w sferę niedotkniętą, nieprzerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki. Świat bliski, nie wielkiej odmiany (bo nic ze słów Chrystusowych odmienić się nie może), ale wielkiego przemienienia się ich, głębszego zrozumienia ich, wyższego uwielbienia! Już w tych wyrazach: „Oddajcie tedy co cesarskiego, cesarzowi, a co Boskiego, Bogu" zawarty jest cały dalszy ruch człowieczeństwa. Bo ponieważ wszystko Bożem jest, musi stan rozdziału owego chwilowego między właścią Cezarową a Bożą, coraz bardziej się zmniejszać, i to co jeszcze wczoraj liczyło się za własność Cezarowi, dziś być już policzonem za należne Bogu: aż stanie się państwo Cezara nicością, a Królestwo Boże wszystkiem.

Świat już dzisiaj pojmuje ku czemu garnie się historja; wie, że nią rządzi mądrość Boża, i że celem jej jest ludzkość, czyli cała powszechność zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał! Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywemi są narodowości, w których odbiły się

jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. Czem nóty w akkordzie, tem one w człowieczeństwie, rozmaitością i zgodą zarazem. Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka!

Państwa są utworu ludzkiego; są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacji Bożej i dla tego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwione jedne tylko mogą być chrześciańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości. Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli papieże—i oni zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcjanić w Europie! Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckiemi, woli Bożej z ludzką wolą. Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą—i od czasów reformy zupełnie pogańską się stała.

Tu machiawelizmu, tu dyplomacji początek; interes ziemski ubóstwiony, Boże królestwo ocieśnione do progów kościoła każdego. Za murami przybytku, wszechprzytomnego Boga już nie ma—umarli tylko śpią na smętarzu, a dalej na bitych drogach świata stoją żywi—wojskowi, ministrowie, kupcy; pod niemi zaś—ucisk i niewola, albo bunt i zwierzęcy szał!

Wszystkie państwa na przekor narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozćwiertowaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. Idea Chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok; nigdzie jednak tak antychrystycznie, jak rozbiorem Polski!

Trzy państwa wzrosłe nie według praw bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacji, słowem na tem, co zowie się polityką, rozdzierają narodowość żywą, czyli jednego ze członków widomych ludzkości! Tym czynem polityko przesięga za własne granice.

Dziecko kto mówi, że to polityczna zbrodnia—zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykająca okręgów Bożych. Państwo utworu ludzkiego, państwo z gry chuci ludzkich powstałe rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowość świętą rozebrać i chcieć zabić, kiedy bez niej

obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie Bożej—prawdzie wiecznej: jest świętokradztwem! Tak samo jak z drugiej strony—nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności: jest religją!

W chwili rozbiorów stało się to jako f a c t u m, ale duch polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem wybranem w historji do posunienia jej postępu dalej. Inaczej być nie mogło—prawo Boże albowiem skaleczone i obrażone na tym świecie, musi mieć wnętrzną siłę wyleczenia się z rany zadanej i wrócenia do właściwej postaci! W narodowości, której krzywdą najsrożej ludzkość pogwałcona—najsilniej zadrgnąć musi, najjaśniej zabłysnąć—idea ludzkości.

Płciowość, polarność jest prawem powszechnem, prawem jednem i wszechobecnem tak w naturze jak w duchu, tylko że pod coraz wyższemi kształtami się objawia; naprzykład, biegun dodatni i ujemny w galwanizmie, planeta i słońce w porządku kosmicznym, mężczyzna i niewiasta w rodzie ludzkim, myśl i ciało w człowieku. Prawo to na tem zależy, że jedna i taż sama siła w naturze lub idea w duchu, objawia się na dwóch ostatecznych końcach swoich niby to sprzecznie, a wtedy między temi dwoma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągłe, czyli ruch i życie tejże siły, tejże idei. W stosie galwanicznym, z bieguna dodatniego wypadająca iskra gdzież leci? w biegun ujemny! Mężczyzna, do kogoż się ma, w kim się odbija? w niewieście! Myśl, czem się wyraża? ciałem! Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą, na to, by c a ł o ś ć istnieć mogła.

W podobnym, analogicznym stosunku dzisiaj mają się do siebie, nadchodzący postęp historji i Polska; koniecznym pierwszego warunkiem drugiej zmartwychwstanie! Gdzież więc musi najwierniej odbijać się świadomość tegoż postępu? gdzież najżywiej zajaśnieć przewidzenie tej przyszłości? zaprawdę, że w Polsce.

Trzeba było śmierci naszej; trzeba będzie naszego wskrzeszenia—na to, by słowo Syna człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. Właśnie przez naszą narodowość umęczoną na krzyżu historji, objawi się w sumieniu ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną—i że kościół Boży na tej ziemi, to nie tylko to lub owo miej-

sce, ten lub tamten obrząd, ale cały planeta i wszystkie jakiekolwiek być mogą stosunki tak osobników, jak narodów między sobą!

„Domini est terra, et plenitudo ejus orbis terrarum est universi qui habitant in eo.“ (*Psal. 24—1)*.

Oczywiście tu nastąpi w sumieniu ludzkiem rozszerzenie obecności Bożej. Pan, w całej sferze politycznej, kędy dotąd go nie było, przytomnym się stanie; a narzędziem jego Opatrzności do tego nikt inny—jedno naród Polski.

Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. Słowo jedne, słowo Chrystusowe, albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt zadany temu świętemu słowu, dalej trwać nie może. Taką jest prawda, ale prawda nie już interesu świeckiego, jedno Bożego—przeto nazywam ja religijną! Ona musi ściślej jeszcze połączyć (r e l i g a r e) ziemię naszą z Niebem!

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekona, niech pojmie myślą co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polsce i przez Polskę, zacząć się opatrznie może nowy okres w dziejach świata. Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnianie się objawienia Chrystusowego w ludzkości!

Dnia 17 marca 1843 roku.

Z Ojców mych ziemi, przez wroga wygnany
Deptać musiałem obcych ludzi łany,
I słyszeć zdala tych szatanów wycia
Co ziemię moją okuli w kajdany;
Jak Dant — przez piekło — przeszedłem za życia!

Zrazu jam ufał, że Bóg miłosierny
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny
Zrazu jam ufał, że za dni niewiele
Zlecą zesłane Anioły mściciele
I grób ten pęknie co stoi śród świata,
Przyparty ręką olbrzymiego kata!
Lecz dni płynęły, upłynęły lata,
Darmo brzask walczył z ślepą nocy siłą,
Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą,
I coraz podlej na tej ziemi było!
Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: „Tu nie ma nadziei!“

Ach! żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą!
Jak Dant — za życia — przeszedłem przez piekło,
Lecz i mnie także, zbiegła w pomoc Pani,
Której się wzroku czarne duchy boją;
I mnie też Anioł wybawi z otchłani,
I ja też miałem Beatricze moją!
O równie piękna! nad planety ciemnie,
Nie wzniosłaś skrzydeł twoich precz odemnie,

By zasiąść w Niebie—bez bólu—niebiańska!
O równie piękna! i bardziej chrześciańska!
Tam gdzie ból rośnie, tam gdzie łza się plemi;
Tyś z bratem swoim została na ziemi!
W jednych my cierniów chadzali koronie,
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,
I z jednych trucizn piekielnego zdroja
My pili razem, o Beatrix moja!

A jednak, jednak mój jęk, twe westchnienia
Zmięszane, zlane, przebrzmiały na pienia!
Z dwóch smutków w duszne spojonych zamęście
Wzbił się głos jeden — a tym głosem, szczęście!
Ach! szczęście wiary, ach! nadziei siła
Co w serce moje przez wzrok twój wróciła!
Tak chmury ciemne, pełne łez na Niebie,
Gdy w nadpowietrznym zetkną się pogrzebie,
Z ich płaczu światło wypada wnet gromem!
I mgła się staje złotym Boga domem!

Pieśń tę więc zacznę, siostro, twem imieniem!
O! bądź na wieki ze mną połączona
Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!
My tu skonamy, lecz pieśń co nie kona
Powróci kiedyś, wierna mnie i tobie,
By jak stróż Anioł, strzedz nas śpiących w grobie!
A może przyjdzie chwila, że wskrzeszeni
W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał przestrzeni
Wstaniem jej dźwięków znów spojni łańcuchem;
I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci,
Jak duch zbawiony, ze zbawionym duchem,
Oboje czyści, świetlani i święci!

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam—z daleka—w Niebo—przodem
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Po za wzgórzem, spływa wzgórze,
Z winnic kapie bluszcz i róże!
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, zrana—zwierciadlana
Fala pije niebios smug!
Na wód dole—na skał czole—
Jedna piękność—jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie!
Z harfą stoisz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na Niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wchodzi!
Widzę jeszcze, widzę ciebie;
Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,
Światłokręgiem twoje skronie
Rozanielił blask księżyca!
W fal przeźrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitnem tle przestrzeni
Całaś srebrna—wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo
Na szafirów tych głębinie!

Za jeziora przeźroczami
Majaczeją wzgórza, skały,
I ty ze mną i my sami,
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! Anieli czuć nie mogą

Co ja czuję w tej godzinie!
Takem silny, takem dumny,
Siostro moja! mnie się zdaje
Że w tej chwili—ze snu trumny
Nasza Ś w i ę t a gdzieś już wstaje!

Co raz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal,
Płyńmy, płyńmy tak bez końca
W ciszę—w jasność—w błękit—w dal!

Wód źwierciadła, gór widziadła
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu:
Daj mi teraz marzeć, daj!
. . . .

. . . .

Bądźmy dumni mój Aniele,
Bo nim zstąpi cud i zbawi
Tych co w dawnym drżą kościele,
Nam zwątpienie serc nie krwawi,
Nam nie brudzi czoła trwoga,
My podnosim wzrok nasz w górę
I gdy widzim tę naturę,
W niej i za nią czujem — Boga!

My w natchnieniu wspólnych marzeń,
Gnani wirem smętnych zdarzeń,
Idziem kędy wiedzie droga!
Lecz w tej zmiennej życia męce,
Gdy ściśniemy sobie ręce—
W niej i za nią czujem Boga!

My zabitej matki dzieci,
My co nigdy nie widzieli
Jak się matki oko świeci
I nad dzieckiem swem anieli;
My z mogiły naszej rodem,
Po niej wiecznie krwawym chodem
Jak upiory stąpać musim!
Jednak w każdej życia dobie,
Za tym grobem i w tym grobie,
Wiarą w Niebo—Niebo kusim!
Pozywamy na sąd wroga,
Bo dzień sądu w piersiach nosim,
I ufamy, że wyprosim
To co boskiem jest—u Boga!

Módl się za mną moja siostro!
Módl się, klęknij tu w pokorze;
Lecz patrz w górę śmiało, ostro,
Jak sierota spojrzeć może!
Wpatrz się w harfę tę bez końca,
W której księżyc, gwiazdy, słońca,
Tkwią jak śruby niewzruszone;
A od dołu aż do szczytu
Struny z światła i błękitu
Drgają, w bezmiar naciągnione.
Po tych strunach Duch przelata,
Na tych strunach Duch przegrywa
I w tej pieśni sam spoczywa:
Ta pieśń—zgodą—ciszą świata!

Słuchaj! w dźwięków tych wszech zgodzie
Brak jednego dziś imienia!
Patrz w tych świateł wszech pogodzie
Brak jednego dziś promienia!
Módl się ze mną, wymów imię
Co wypadło z lutni życia;
Wskaż tę gwiazdę która drzymie,
Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!
Wymów, wymów Polski imię,
Może słucha nas Duch Boży,
I stracony dźwięk ten przyjmie,
Znów do pieśni świata włoży!

Módl się ze mną, módl się śmiało
I spokojnie i bespiecznie!
Jak Bóg w Niebie—tak koniecznie
Bóg nas wcieli w drugie ciało!
Bośmy w żadnej zgonu chwili
Ducha nigdy nie stracili,
Próbę grobu my odbyli—
Prawem naszem: Zmartwychwstanie!
Dziś lub jutro, dasz je Panie!
O! dasz w swej sprawiedliwości,
Nie coś winien nam—lecz sobie!
Bo któż w naszym wyżył grobie?
Kto nam dotąd w piersiach gości?
Nikt na ziemi—oprócz Ciebie!
Żadna inna moc ni siła,
Jedno twoja się zjawiła
Tu—po naszym, w nas—pogrzebie!

Twoja wszechmoc tylko Boże,
Cośmy znieśli, przetrwać może!
Twej potęgi tylko chwała
Tak jak Polski—jest bez ciała!
Duch twój tylko jeden zdoła
Nie zatracić—śmierci—siebie.
Więc gdy dzisiaj z ziemi woła,
Ty odpowiesz mu na Niebie!

Gdym tak mówił, tyś uklękła,
Strunnym jękiem harfa jękła,
Bo o struny, które w koło
Porozzłacał blask miesiąca,
Tyś oparła śnieżne czoło:
I tak klęczysz wzdychająca!
Z za tej kraty strun — twe oko
Patrzy mglisto i głęboko.
Na twych ustach słów już nie ma,
Tylko jedno drżące tchnienie
Całość duszy na nich trzyma!
Módl się siostro, módl westchnieniem,
Bóg wie dobrze, że westchnienie
Dziś Ojczyzny twej imieniem!

My umarli pośród świata
Z świętej do świata miłości!
On nam bratem—zbawić brata
Trzeba było z win podłości
Przyjąć na się—nie grzech—karę!
My przyjęli—i widziano
Śród narodów, Polski marę
Zstępującą w grób na trzy dni!
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano!

Ha! myślicie że kto kocha
I umiera, ten już ginie?
Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
Lecz ni sobie, ni wszech życiu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie
Ten się przelał w drugich tylko!
Mieszka w ludzkich serc ukryciu
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile!
Jak uczynił Bóg co w niebie,
Daje wszystkim, daje siebie,
A nie traci na swej sile!
Musi długo, niewidzialny,
Lecz w serc głębi wciąż słyszalny,
Palić ogniem serc tych skazy,
Miękczyć łzami dusz tych głazy,
I przez grobu męki, trudy,
Harmonijną pieśnią śmierci,
Choć rozdarty sam na ćwierci,
W jedną miłość spajać Ludy!

Ha! wy dziwnie tu marzycie!
Wam śmiertelnym się zachciało
Nieśmiertelnych zabić życie!
Raniliście tylko ciało!
Śmierć i miłość—wy nie wiecie,
Że to jedno w Duchów świecie?
Wy, w piekielnej już topieli
Wyżej piersi zanurzeni,
Z Boga tylko to pojęli
Czem objawił się w przestrzeni!
Myśl co w mózgach waszych gości,
Myślą tylko ciał martwości!
Tu z was każden jak morderca
Chce pozbawić ludzkość—serca!
I kościotrup po niej nagi
Rządzić prawem równowagi!
Rozdajecie, jak świat wielki
Wszystkim więzy albo sidła!
Nie tak—nie tak—bo duch wszelki
Ma w anielskie porość skrzydła!
Wiecznotrwały ten na ziemi
Kto swą śmiercią życie plemi;
Lecz kto życiem swem śmierć daje
Ten gdy skona—już nie wstaje!

O wy niscy, o wy ciemni
I okrutni i nikczemni!
Wy, przewiędłe w nicość dusze,
Bez ducha Faryzeusze!
Wy, kuszący piorun Boży,
Aż was w prochu tu położy!
Wy szpiegowie i wy katy,
Z wypranemi od krwi szaty;
Wy, półśrodków sztucznych pany,
Co kładziecie żar na rany,
A gdy jęknie wam męczennik
Kłamcy wieczni z prawem waszem,
Czy z kupiecką zysku szalą,
Czy z bagnetem i pałaszem,
Wy bożyszcza—którym palą
Dym kadzidła dzieci trwogi;
Ziemia waszym struta jadem,
Wyście tylko ziemi—gadem,
Choć się macie za jej Bogi!

Nie znam na was hańby słowa —
Nie, że język mój ubogi,
Lecz że boską ludzka mowa!
Nadto piękna, czysta, święta,
Bo z anielskich krain wzięta—
By was nazwać po imieniu
Jabym rzucił w grzmiącem pieniu
Wam, serc wszystkich wszech przekleństwo!
I jak zemsty jędza wściekła,
Gnał was biczem żmij do piekła
Ztarł wam z czoła człowieczeństwo!
Bladych, krwawych, skutych w pęta
Stawił w wieków sądnem kole,
By wydeptały na czole
Wam nadgrobek ten „zwierzęta“
Ale w duchu jest pogarda
Co ma także swe panieństwo,
I gdy gardzić—nadto harda
By znamiętnić się w przekleństwo!

Co zalewasz się tak łzami,
Co tak patrzysz bezprzytomnie?
Siostro moja! wstań, chodź do mnie,
Prawda z Polską—Polska z nami!
Nie klęcz więcej, spojrz wesoło—
Skroń mi oprzej na ramieniu;
Niechaj widzę twoje czoło
Przebóstwione w mem natchnieniu!

Nim ten księżyc już ponury
Zstąpi całkiem za te góry,
Nim te gwiazdy się dopalą;
Nim powróci promień słońca
I przeminie czar co trąca
Piersi moje nad tą falą:
Niech ci wyższy cud obwieszczę
Nad uciski nad boleści!
O Aniele mój niewieści
Słuchaj jeszcze—słuchaj jeszcze.

Znasz ty miłość, która nęci
Wiecznie duszę w kraj pamięci?
Czy po nocach ciebie woła
Rodowego krzyk Anioła,
I twym oczom patrzeć każe
W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca
Jak trupiego widno lica:
I gwiazd nie ma—tylko ona
W środku Niebios, niewzruszona!
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, zkamieniały.
Kędy spojrzeć, na wsze strony
Zaspy, śniegi, lody, szrony.
Strach jak biało—pusto—marno!
Groby tylko z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte
Śród tej bieli stoją czarno!

A gdy wspomnień tajna wola
Myśl twą rzuci na te pola,
Zda się tobie że bez końca
Po nich błądzisz nocną dobą,
I że wisi wciąż nad tobą
Ten przejrzysty trup miesiąca!
A za każdym twoim krokiem
Rozszerzają się te niwy—
Nieskończoność przed twym wzrokiem—
I nad głową ten straszliwy

Krąg ci Niebios także rośnie!
Coś pod ziemią brzmi żałośnie,
Cały smętarz drga jak żywy,
Z grobów wieją modły—jęki!
Głucho dzwonią gdzieś pałasze,
Twardych zbroic słychać brzęki,
Jakby dotąd ojce nasze
Pomne życia, tęskne chwały,
Tam się w trumnach przewracały
Z boku na bok—i marzyły
Mękę Polski, w snach mogiły!

Nie! co znikło, nie umiera!
Jak zaklęte czarne bóstwo
Przeszłość wraca w jawu kraje!
Patrz! grób każden się roztwiera
Umarłego ci oddaje.
Antenatów błade mnóstwo,
Dawne króle, radne pany,
I rycerze i hetmany
Obwiązują cię do koła.
Smętarz z lodu i z kamienia
W sejm w zjazd, w Polskę się przemienia!
Zgon się darmo wrył w te czoła;
Choć wzrok pruchnem błękitnieje,
Znać w nim Wiarę i Nadzieję!
Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,
Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość.
I niewoli wzgarda bucha!

Jam ich widział i szlochałem!
Na tej białej snów mych ziemi—
Jam ich widział—i przed niemi
Tak jak pada trup, padałem!
Na ich stopach kładł ja skronie,
I podrywał ku nim dłonie!
Tam łzą, krzykiem, sercem całem
O zgon Polski ich pytałem,
Ja urodzon po jej zgonie.

Za co życie, w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,

Że potomkom nie zostało
Ni potęgi ni puścizny.
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?
Co ich wichrem takim gnało
Po dziejowej czasu fali,
Że tak dbając o nas mało,
Krew nam, i w tej krwi—śmierć—dali!

Ledwom spytał, ich zbroice
Zagrzegocą w głuchy dźwięk,
Z wszystkich piersi wypadł jęk;
Wszystkie zmarłe te źrenice
Z pod tych przyłbic, jak gromnice
Płoną ku mnie—razem, górą
Wszystkie wzbiły się prawice,
Przesłoniły księżyc chmurą!
I tych bladych rąk sklepienie
Drży przysięgą potajemną,
Na słów moich zaprzeczenie
W Niebo rośnie ponademną!
Tak jak rosa z polnych kłosów,
Pot mi trwogi ścieka z włosów,
A na piersiach zmora siędzie.
Ni odwrócić mogę wzroku:
Tu, przedemną, za mną, z boku,
Oni stoją tłumem wszędzie!
Zewsząd słyszę ich oddechy
I pogardy słyszę śmiechy;
Patrzą na mnie ci umarli
Jak półbogi—a z ich lica
Patrzy wieków tajemnica,
I z nich każden ją rozumie,
Więc mną gardzą w świętej dumie.
Aż pogardą mi rozdarli
Serce—i serce ze stali
Gdy tak śmiechem mi łajali
Pękłoby.—O tej snu porze
Ah! pamiętam strasznie smętno,
Więc jak mogę tak się korzę
Aż znów zerwie się namiętno
Duch mój—krzyknę: „O ojcowie!
Zdejmcie ze mnie wasze gniewy;
Kto na świecie mi tym powie
Prawdę świętą, jeźli nie wy!

Jam was przyszedł pytać o nią,
Odpowiedźcie więc synowi:
Niech się Polska wasza dowie,
Że jej duchy wasze bronią".

Wtedy Hetman, co przy grobie
Oddalonym zwykle trzyma
Na szablicy ręce obie,
Żadnych pętlic złotych nie ma,
Ni turkusów w buzdyganie,
Jedno pancerz za ubranie;
A na rysiej z wierzchu skórze
Miasto haftów—kul przestrzały—
I na licu blizny duże—
I na czole hełm niecały!
On wódz zmarły, co tam zawsze
Na mnie oczy ma łaskawsze,
Choć z nich wszystkich najbutniejszy,
I z nich wszystkich najsmutniejszy;
Jak stał cichy i ponury
Nagle czoło wzniósł do góry,
Wyprostował się ogromnie
I szedł jęcząc, zwolna do mnie.
Jam znów przykląkł—i wzwyż głowy
Usłyszałem głos grobowy:
„Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego co mnie boli,
Ja wyrosłem—i snać tuszę
Że ból tylko, tam na świecie
Kiedyś pysznych w piekło zmiecie.
Komu dawa Pan katusze
Obietnice temu składa!
Słowo Pańskie, żadna zdrada—
Ono musi zbawić duszę!
Jakie lądy, jakie morza
Jam zbiegł niegdyś—wiedzą ludzie!
Za dni moich źle już było;
Jak się mogło, tak służyło
Szczerą chęcią, w krwawym trudzie
Braci szlachcie.—Łaska Boża
Nas wygnała w te bezdroża;
Niechaj będzie pochwalona!
Bo ojczyznie mojej dała
Z piekieł ziemskich wynijść łona,
Nie żyć w innych ludów modle,

Raczej umrzeć jak żyć podle—
Za to Panu wieczna chwała!

„Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!
A zaż ty wiesz, jak z godziny
Dni się snują, jak z dnia wieki?
Tylko zmarły — co w żałobie
Tęskni, czeka, marzy w grobie,
A nieżywy—wiedzieć może
Co czas bliski co daleki!
Co noc wieczna, a co zorze,
I co boskiej znak opieki!

„Gdyby niegdyś ojce twoi
Cudzoziemców świeckich chodem
Weszli byli do podwoi
Tego gmachu—który stoi
W koło Polski, a dziś pada!
Bylibyście dziś jak oni
Kramem tylko—nie narodem;
Sklepem śpiącej pełnym broni—
Wyście duchem co nią włada!
My nie mogli żyć w przeszłości,
Bo my znali się za gości
Innych wieków.—Wiecznie, wszędzie
Przez rozwarte dziejów pole,
Los nas pędził w wyższą dolę,
Ku tej Polsce która b ę d z i e!
I przez ojców waszych życie
Porywani dotąd skrycie,
Mimo wiedzy—wy myślicie
Ku królestwu iść Bożemu,
Co ma jaśnieć na tym świecie:
M y s z l i t a m ż e p o s t a r e m u,
W y d z i ś z m ł o d a t a m i d z i e c i e!

„Jedną spójnią, w jednym duchu,
Jak ogniwa na łańcuchu
Pan powiązał ojców z syny.
Ni ten łańcuch kiedy pęknie!
Wszystkim razem dobrze, pięknie!
I z krwi naszej, z naszej winy,
Nim ten jeszcze wiek przeminie,

Wyjdzie L u d ó w L u d j e d y n y:
Błogosławcie ojców winie!“

I umilka Hetman mówca;
Znów wstecz idzie do grobowca,
Grobu głazy się rozwarły,
Śród czarnego ich przełomu,
Ten umarłych wódz umarły
W granitowym znika domu.

I wnet w górze się roztrąca
Rąk nademną mgła wisząca,
W oczach tają mi widm twarze—
Step się łamie—Niebo kruszy—
Znów te wszystkie mi smętarze
Zapadają w przepaść duszy!
Lecz drga w uchu, jęczy w duchu,
Jeszcze zrana, głos Hetmana
Ze snu tego, rozwianego
Myśl ta jedna—nierozwiana!

Coraz smutniej już w przestworze,
Coraz czarniej na jeziorze!
Pogrzebowa z chmur przesłona
U gór szczytu rozwieszona—
I w nią księżyc spadł—i kona!

Przebóg, siostro! co się dzieje?
To nie wiatru szum tak wieje;
Ktoś tam z cicha płacze, wzdycha—
Z nad wybrzeży jęk się szerzy;
W nocnym wietrze, przez powietrze
Tysiąc jęków do nas bieży.
Już brzeg cały—wzgórza, skały
Brzmią modlitwy głuchej kołem:
Wielki Boże! czy być może,
Duchy ojców tu ściągnąłem!

Za wodami—tam przed nami
Jak sny lekkie—lekką zgrają
Na opokach się wieszają;
Jak płomyki—jak ogniki,
To się wznoszą, to zniżają!

Do strun, siostro? uderz w struny;
By ich łacniej pieśń zaklęła
W akordowe graj pioruny
Graj im: „Jeszcze nie zginęła—“
Harfą, głosem—płacz, proś, szalej!
Pieśń rodzinna, tu powinna
Przyprowadzić ich z oddali!

Widzisz, widzisz, usłyszeli;
Na ciemnościach tacy bieli

Z skał spływają już do brzegu!
Ot! w powietrznym już pochodzie
Po tej czarnej kroczą wodzie,
Jak olbrzymie słupy śniegu!
Czy to cuda?
Czy to złuda?
Dźwięk po dźwięku
Skrzy ci w ręku;
Harfa cała
Tli i pała;
Każda nuta
Z strun wysnuta
Przestrzeń trąca
Gorejąca!
I w zwyż fali
Pieśń się pali,
Ku mar stronie
Pędzi — goni
I wciąż płonie
I wciąż dzwoni!

Przewodowo—zwolna—święcie
Przez to dźwięków rozbłyśnięcie
Idą, idą wszystkie mary;
Patrzaj, patrzaj! w dziwnej chwale
Wszyscy z trumien polskich rodem
Idą—idą przez te fale
Chrystusowym do nas chodem!

Tam buńczuki, tam sztandary,
Śnieżne pióra i korony.
Katolicki krzyż wzniesiony;
W koło herby—tarcze—znaki
I tłum szabel i szyszaki
Przeciągają—patrz! tam żywa
Twarz z powietrza się wyrywa,
Twarz, czy widzisz, Anielicy!
Jak gwiazdeczka na ciemnicy
W górze, w górze zawieszona
Wschodzi—weszła, tli, drga, płonie!
Ot! z błękitów i szkarłatów
Już otęcza ją przesłona!
Na tle z pereł, na tle z kwiatów
Diamentowa lśni korona—
W krzyż na piersiach zwite dłonie,

Złote gwiazdy na jej łonie;
Czy poznajesz ty, kto ona?
Witaj, witaj—to królowa
Po swym ludu długo wdowa,
I dziś wraca w tej koronie
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali jej ojcowie;
I tych ojców, przez te tonie
Patrz! prowadzi:

Nie graj więcej,
Z fal tych, drugiej takiej tęczy
Nasza harfa nie wydźwięczy
Ni te Duchy tu przynęci!
Już ich tknęło światło Boże
I gdzieś spieszą zbrojnie, skoro
Złotem w okół lśni jezioro,
Na ich hełmach błyska zorze;
W dawnym polskich bitew stroju
Przebóstwieni, rozzłoceni,
Przesuwają się w przestrzeni
Jakby znowu szli do boju!
Srebrne skrzydła w zbroję wtknięte,
Im z nad ramion w górę lecą,
Jak anielskie skrzydła świecą,
Turkusami zbroje spięte,
Z żywej stali rękawice,
Strusie pióra wyżej głowy,
I dobyte do połowy
Damasceńskie ich szablice.
Każden oczy ma wzniesione
W przeanielską patrzy Panią
I po fałach stąpa za nią
W nieskończoną jakąś stronę;
I miecz dławi w swej prawicy
Wyżej serca, na zbroicy
Jakby miał się ku obronie
Tej lecącej, w gwiazd koronie:
A królowa ta nie z ziemi
Jak sen wije się przed niemi
Coraz dalej—

Pani! Pani!
Wszak z pomarłem sług plemieniem
Ty zstępujesz do otchłani

Po raz drugi zdeptać węża!
Wszak z nowego wieku dnieniem
Sprawiedliwość się odnowi,
I ty powiesz szatanowi,
Że lud polski Twój—zwycięża!

Uderzyła łask godzina!
Znowu Tobą i przez Ciebie,
Myśl przedwieczna, żywa w Niebie,
Żyć pod Niebem rozpoczyna.
Płyńże, płyńże Liljo Boża
Po za lądy, po za morza,
Nad piekielne wzbij się jary!
Świeć im oczu twych spojrzeniem,
Niech przepada kłamca stary
Który wieków był złudzeniem;
U stóp twoich on polęże,
A ci zbrojni, polscy męże
W pierś mu wetkną miecz ze stali,
Podeptają w imię Boga
Odwiecznego ludzi wroga:
Wszakżeć na to z grobu wstali!
Wtedy, wtedy na tym świecie
Wzrosną życia kształty trzecie!
Wtedy, wtedy nam z powieki
Pan łzy otrze—i na wieki!

Wiem już teraz o Ojcowie,
Gdzie z Królową tą w szkarłacie
Tak spieszycie—przemijacie!
Ale czyjże głos mi powie
Kiedy nazad, z tej oddali
Na tę ziemię powrócicie?
By i żywi w złotym świecie
Z letargowych trumien wstali!
Już daleko wy na fali!
Coraz dalej, coraz dalej—
Ku wschodowi, ku jutrzence
Lśnią wzniesione wasze ręce!
Na te góry, na te brzegi
Dnia już padły jasne gońce;
Czerwienieją skał tych śniegi,
Mgła się płoni u wód końca,
Za nią pierwszy promień słońca!
I te białe ich szeregi

Idą prosto w to wschodzące,
Wielkokrężne, złote słońce!
Płoną, mdleją, nieznacznieją,
Już ich nie ma—z tych topieli
Poszli w swiatło i zniknęli,
Poszli z światłem—i z nadzieją!

Nic nie ujrzeć już w przestrzeni
Prócz lazurów i promieni!
Znów spokojna toń jeziora,
Znów te skały i te góry,
I to Niebo, i te chmury
Tak jak zawsze—tak jak wczora!

Noc minęła—lecz z jej cieni
Wiara w piersiach się została?
Ni tej wiary los już zmieni;
Naszą, naszą przyszłość cała!

Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
Ten widnokrąg objąć świata,
I przycisnąć świat, jak brata
Do mych piersi—bom szczęśliwy!
Wszystko moje, wszystko piękne.
Moje ziemie, Nieba, niwy!
Z skał tych, życia głos wydźwięknę,
Bo w mem sercu Słowo Boże!
Wszędzie cuda—wszędzie dziwy—
Ja roztopię się w przestworze!
Ja ci mówię, żem szczęśliwy.
Polska moja—Polska będzie!
Dzięki wszystkim i wszystkiemu,
W wieki wieków dzięki wszędzie
Bogu, Duchom, ludziom, tobie—
I umarłym dzięki w grobie,
I każdemu kto jest żywy;
Temu światu wszech całemu
Wieczne, wieczne dziękowanie!
I powietrzu powiem: Panie!
Dzięki tobie—bom szczęśliwy!

Wszystko ludzkie znika—ginie—
Prysła ziemskich chwil zawiłość:
Myśl już pląsa w tej krainie,
Gdzie wszech światło i wszech miłość!
Z dusz się naszych wzbił duch trzeci,
Wyższy od nas, niepojęty—
Bo nam w piersiach wre i świeci
A zarazem w górę leci,
Już z tych piersi w niebo wzięty.

I w tej chwili przemienienia
O pamiętaj! wspólnym wzrokiem—
Tej istoty trzeciej okiem—
Jej nie naszym—my ujrzeli
Głąb rozkrytą przeznaczenia!

Czy pamiętasz? my widzieli,
Gdzie? ja nie wiem, nie powtórzę—
Ni na dole, ani w górze,
Ni na wodach, ani w chmurze—
Lecz w bezdennej gdzieś topieli,
Gdzieś w odwiecznych świateł bieli.
W próżni — kędy się przed nami
Niewidzialne wskroś rozdarło,
Jak ocean się rozwarło
Po nad czasu przepaściami!
Oto nagle, tam, ujrzeli
Jak się Polska, Polska cała
Jednem widmem zmartwychwstałem
Archanielsko wielkiem, białem
Z dni przyszłości wychylała,
I na głębi dni tych stała,
Jeszcze widna—niby ciałem—

Lecz już w wieczność przebóstwiona;
Nieśmiertelna, nieskończona!

Jak blask słońca, tak jej lice!
I z błękitu ma źrenice—
A jej wzrokiem błyskawice!

Nad jej czołem z krwi korona,
Wieniec wspomnień purpurowy,
Lecz już przeszły wszystkie bole:
I duch Boży na jej czole—
Na około już świat nowy!

Na zerwanych jej kajdanach
Miecz u piersi zawieszony!
Na tym mieczu trzy korony.
Po trzech dawnych świata Panach!

Choć już złego wiek skończony,
Na tej miecza rękojeści,
Oplecionej w trzy korony,
Rękę dotąd trzyma ona!
I ta ręka krwią znaczona
W Chrystusowy znak boleści!
I z tych koron czasem błyska:
I ta ręka wtedy ściska
Miecz olbrzymi—a z tej ręki
Na pamiątkę więcznej męki
Krew w Wieczności jeszcze tryska!

A tam za nią, tam, wysoko—
Tam, daleko—tam, głęboko—
Za nią, w czasie i w przestrzeni,
Na tłach z światła, na tlach z cieni,
I z stron wszystkich, w koło, wszędzie
Jak mgły w ogniu, w tęczach pary,
Zewsząd wstają Boże mary
Tego świata, który będzie!
Lecz już nie tak jasno-białe,
Mniej olbrzymie i wspaniałe,
Ni znaczone krwią przeszłości
Bohaterską krwią męczeństwa,
Tą boskością człowieczeństwa!
W znak królewski—śród Ludzkości.

7

Wszystkie płoną pierwszym wschodem
I potęgi—i zwycięztwa—
Każda wielkim jest narodem,
Ale tylko z niebios rodem,
A nie rodem z swego męztwa!
Młody listek ich wawrzynu,
Nie wywiodła ich z smętarzy
Nad zgon, wyższa wola czynu!
Ni im dano czem śmierć darzy!
Bo jak ojciec, grób ich skrycie
Nie wyuczył ścieżek Pana!
Wtóra mądrość im nie dana,
Pierwsze tylko dane życie!

Patrzaj, patrzaj! z chmur powodzi
Coraz więcej widm tych wschodzi;
Na ich skroniach róże wiosny—
Maj nadziei, maj żywota;
W ich spojrzeniach cisza złota—
Na ich ustach hymn radośny,
A pod niemi drży w przestworze
Szafirowych świateł morze.
I tam wszystkie przechylone
Z szczytu wieków swych patrzają,
Wszystkie, wszystkie obrócone
W archanielskiej Pani stronę,
Coraz niżej się schylają!

Widzę, widzę!—wzniosły ręce
Rwą ze skroni życia kwiaty,
Rwą—ciskają życia wieńce
Pod jej stopy—na Jej szaty!
Leci tuman róż w przestrzeni—
Na tem Niebie każda róża
Nagle w iskrę się przemieni,
Wieniec każden tęczą tryśnie!
Spadająca kwiatów burza
W jedną zorzę się rozbłyśnie,
I w powietrzny płaszcz z promieni;
W karmazynu wielką chmurę,
Archanioła opierścieni!
Polskę moją—w jej purpurę?

Wszystkie, wszystkie Duchy Ludy
Na szafirach swych do koła

Pochyliły przed nią czoła
Jeszcze głębiej niźli wprzódy!
Rozkochane, zachwycone
Widzę, widzę—już przyklękną;
W niej uznały Boże piękno,
Dadzą Jej świata koronę!

I przyklękły i słyszałem
Głos, co woła w wiecznem Niebie:
„Jak im Syna niegdyś dałem
Tak im, Polsko! daję ciebie!
Syn mój jeden był—i będzie,
Lecz myśl jego żyje w tobie;
Bądź więc prawdą jak On, wszędzie;
Ja cię Córką moją robię!
Gdyś do grobu zstępowała,
Byłaś cząstką człowieczeństwa!
Ale teraz, w dniu zwycięztwa
Imię twoje: Ludzkość cała!
Ziemia tobie powierzona
Byś ją wiodła czynu torem,
Aż się staną jej plemiona
Jednym Ducha arcytworem.
Wzbij się w bezmiar nieskończony
Nad ubiegłych lat padołem,
Wtedy pójdą te miljony
Za planety archaniołem!“

I ujrzałem Archanioła
Postać, w bieli i w purpurze
Z nad klęczących ludów koła
Podnoszącą się ku górze!
Obrócone w zwyż jej oczy,
Lecz ku Duchów Ludów stronie,
Wyciągnięte na dół dłonie—
I tak znika śród przeźroczy.

W tę porwaną patrzą postać
Rozklęczone Duchów grona—
Już nie mogą w dole zostać,
Już się wzięły pod ramiona
Pojednane, połączone—
Wzbić się muszą tam gdzie ona
Wichrem Bożym poniesiona,
W coraz wyższą, wyższą stronę!

I zerwały się pospołu
Z szafirowych niw padołu:
Za mą Polską—jak za słońcem
Popłynęły już do góry,
Narodowe, ziemskie chóry
Popłynęły tak jak chmury
Opasane tęcz tysiącem!

I ujrzałem—wszechświat cały
Jak myśl jedną, która płonie
Skier miljonem, w jednem łonie!
Ach! widziałem—Bożej chwały
Wszech przytomny kształt—bez końca!
Komet, planet, wiry, kręgi,
Nad wstęgami gwiazd—gwiazd wstęgi—
Nad słońcami jeszcze słońca!
Wszędzie światów, tak jak kwiatów
W lazurowym tym ogrójcu;
I przez światła oceany
Jeden życia dźwięk rozlany,
Pieśń wszech grzmiąca, wszech jedyna,
Niebieskiego świata Syna,
O niebieskim Bogu Ojcu!
I przez wszech świat ten do Boga
Szła Narodów ziemskich droga;
I wciąż Polska moja przodem
W nieskończoność z ludzkim rodem
Tam leciała—!

Czyje oko
Ją dosięgnie tak wysoko?
Kto uderzy ziemskiem czołem
Aż o stopy Stwo°zyciela?
Kto poleci z Archaniołem
Tam gdzie Ludzkość się odwciela?
Już mi w piersiach serce mdleje—
Obraz znika, myśl się chwieje.
Siostro moja! czym w mogile?
Mnie tak słabo, konająco—
O jam prosił tak gorąco,
Jam się modlił Bogu tyle,
O tę jedną jedną chwilę
I ujrzałem—!

W tej godzinie
O pamiętaj, żeśmy byli
Na najwyższej dusz wyżynie—
Tam zkąd źródło życia płynie;
My u źródła życie pili!
Oko nasze już chwytało
To co jeszcze bez imienia;
My na wolność rozpętali
Z głuchych więzów przedstworzenia—
To co jeszcze w nich drzymało,
I na chwilkę temu dali
Co Bóg daje—kształt i ciało!
Siostro moja! my tej chwili
Naszą wieczność już przeżyli.

Zrzuć więc smutek, zrzuć więc trwogę,
Daj mi rękę w jedną drogę!
Wiem co trudu na niej jeszcze,
I co bolu—i co klęski;
Ale ufaj w czucie wieszcze,
Już nam błysnął świt zwycięzki!

W tę Ojczyznę nieśmiertelną,
Mimo działów niepodzielną,
Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą—naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię;
Jakich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana po nad Pany,
Duch im prawdy z Nieba dany
I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się mnóstwo
Cząstek, rozdział lub rozbicie,
Tam już dla nich jedno Bóstwo,
Jedna miłość i wszech życie!

Krwią się brzydzą, choćby winną!
Duch już przez nich tylko stwarza,
I gdy stworzy ziemię inną,
Nie ma na niej już zbrodniarza!

Nie ma także podrzędnicy!
Bo niewieście w końcu serce
Po lat długich poniewierce
Błysło z pączka tajemnicy!

Dawne pany biorą sami
Swe, za dłonie, niewolnice
By jak duchy iść z duchami,
I wstępować na stolicę!
Przemieniony ten planeta
Już zapomniał co kobieta—
Wie, co bracia i siostrzyce!
I świat nowy ten radośnie
Jak świątynia Panu rośnie;
W polskim kraju, w polskim raju—
Na wiekowych nieszczęść niwie
Już nie pusto, ni żałośnie;
Nigdzie nigdzie, już nie ciemno,
Ani za mną, ni przedemną!
Wszędzie jasno, sprawiedliwie!
Zrozumiana przeszłość święta,
Zrozumiane czyszca męki,
I ten kielich z kata ręki,
I te krzywdy, i te pęta,
I Duch złego, który kusi
Do podłości serce dzielne—
I to serce, które musi
Wstać z tej śmierci—nieśmiertelne!

Duch twój nigdy już nie skona,
Polsko moja przemieniona!
Po nad ziemskich szum zawiei,
Tyś się wzbiła w kraj idei!
Inni pomrą bez nadziei,
Śród otchłani lub w dolinie,
Lecz ty stoisz na wyżynie!
U stóp twoich czasu fala
Niech się pieni i przewala:
Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku;
Lecz Idea nie przeminie!

Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem, domem, obyczajem,
Państwa skonem, albo zjawem:
Ale Wiarą—ale Prawem!
Ten już odtąd Bogu kłamie,
Kto cię zdradzi, kto cię złamie;

Bo myśl Boga w twojem łonie
I los świata w twym Zakonie!

Wiekuisty ojców Boże,
Ty co górny i daleki
Coraz jaśniej w nas przez wieki
Tu zstępujesz—i jak zorze
Z bram wieczności, w czasu tonie
Skry twe sypiesz, aż czas spłonie!
Teraz idzie znów zaranie,
Które dajesz nam z miłości;
I po grobach zadrżą kości
W szelest hymnu, Tobie Panie!

Darmo—darmo nasze wrogi
Ach! bluźniły, żeś bez serca,
I mówiły, żeś morderca!
Tyś umarłym wytknął drogi
Co w niebieskie wiodą progi,
Aż wskrzeszonych zmienią—w Bogi!

Za ból ciała—za ból duszy,
Za stuletnich ciąg katuszy
Dziękujemy Ci o Panie!
Choć my nędzni, słabi, marni,
Z naszej wszczęło się męczarni
Twe na ziemi królowanie!

My jak prochy my jak pyły—
I wywiałeś nas z mogiły,
I nam rzekłeś: „O tej porze
Z was, ja wszystko nowe tworzę".—
Prochy, lecim już w przestrzenie—
I w piorunach twego głosu!
„Swiatło stań się"—śród chaosu
Z prochów stały się—promienie!
I do świata, który kona,
Tyś nas posłał nazad w gości,
By promyki z twego łona,
My świadczyli o przyszłości!

Wiekuisty ojców Boże,
Błogosławim ci w pokorze!
Gdy wiek wieków się przemienia,
Przed twym tronem nasze Duchy

Zapadają w przepaść skruchy,
W śmierć przed tobą—z uwielbienia.

Alleluja!—dniom boleści
Wnet skrzydłami zaszeleści
Anioł, zwiastun dobrej wieści!
Alleluja!—moc szatana,
Co udawał ziemi pana,
Już na ziemi pokonana!

Niby skryte zło w naturze
Od początku walczył z nami,
Chadzał dumny w wiatrów chórze,
Wył na fali, grzmiał na chmurze
I zabijał piorunami!

Chwila jeszcze a upadnie,
A gdy czoło w pył pokładnie,
Ze zwłok jego się przetworzy,
Przeanieli, wydobędzie
Inna postać—seraf Boży
Co planety stróżem będzie!
I przejasnych widzeń darem
Po za trumien czarnym jarem,
Żywem wskaże białe Raje
Gdzie Duch zmarłych zmartwychwstaje!

Wszystkie, wszystkie sprzeczne siły
W jeden nastrój się złączyły,
Jedna drugiej nie przeklina—
Wirującym ziemia jękiem
Już przestworu nie przecina—
Lecz szczęśliwa, brzmi i śpiewa,
Harmonijnym śpiewa dźwiękiem!

Słabszych silny już nie gniecie;
Tak jak w Niebie—na planecie
Wszystko świętej woli słucha;
Martwa dotąd bryła Ludu
Już przekuta dłutem cudu
W nieśmiertelny posąg Ducha!

Piersi ludzka na śpiew się sil:
Wił się wieków rój
I walk mijał stek;
Lecz skończony bój,
I szczęśliwy wiek
Ujrzy chwilę chwil!

Nie widział wzrok, nie słyszał słuch
Jaka piersi głąb,
Jaki serca czar;
Myśli twórcza zstąp,
Daj przebudzeń dar,
Niech się ocknie Duch!

Długo trwała snu tego moc—
Uwierzyli weń,
Wieczny ból i trud!
To przybytku sień—
To po wschodach, wschód;
To zasługi noc!

Piersi ludzka, kędyż twój srom?
Spojrzyj w siebie—patrz!
Gdzie wrzał dawniej płacz,
Stęk, zgrzytanie, wrzask;
Dziś z niebieskich łask
Drugi Boży dom!

Rozszerzyła się piersi cieśń
W niezmierzoną błoń,
W jasnowidną toń!
Jeden z Nieba kwiat
Przyszłych wieniec lat,
Jedna w Bogu pieśń!

Tak śród przedświtów lepszego poranka
Marzył wygnaniec, marzyła wygnanka!
Co czuli w sercu, rzucili w te słowa;
Lecz słowo tylko—to marna połowa
Arcydzieł życia: modlitwa jedyna
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
Co głosem śpiewa, to wciela pomału
W kształt dotykalny—aż tak jak Duch Boży
Świat rzeczywisty w okół siebie stworzy,
Równy pięknością, światom Ideału!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo póki łódka na marzeń jeziorze,
Falę natchnienia w samotności porze,
Myśl tylko weszła, nie człowiek, do Nieba!

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojmą szyderce,
My już w niej całe wyśpiewali serce,
I tu jest nasze ze Słowem rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne,
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję,
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgińcie me pieśni—wstańcie czyny moje!

Lecz ty piękności, którą ukochałem,
Siostro jedyna, w mojem życiu całem,
Ducha męzkiego niewieści Aniele!
Czuwaj nademną—i zostań się przy mnie
Aż zginę, cząstką, w trudów arcydziele—
Aż skonam, zwrótką, w poświęcenia hymnie!

KONIEC.